

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Modlitwa polskiego dziewczęcia.

Wiem ja, bo mi o tem mama powiadała:
Żem dziecię tej ziemi, żem jest Polka mała.
I wiem, jak mi Polska droga i miła,
Bom się w polskiej mowie pacierza uczyła.
Bo mię polskie niwy chlebem swym karmiły,
Bo mię polskiej piosnki skowronki uczyły.
Bo mię tam na niebie strzeże Matka Boska.
Ta polska Królowa, nasza Częstochowska.
Bo przy Bożym tronie polscy Święci stoją.
I codzień się modlą za ojczyznę moją.
Więc i ten paciorek, polskiego dziewczęcia,
Przyjm o wielki Boże, w ojcowskie objęcia!
Bo on się z mej duszy wyrывa jak łkanie!
„Naszą drogą ziemię racz mieć w pieczy, Panie!”

Ukochane Działki Polskie!

Dzisiaj pragnąłby nauczyciel przypomnieć Wam, Działki Kochane, bardzo ważny obowiązek, a obowiązek ten dotyczy duszy Waszej.

Chcąc Panu Bogu się podobać i kochać Go całym sercem, trzeba starać się Go poznać.

Pomagali Wam w tem rodzice, gdyście byli małemi, ucząc Was pacierza, a teraz pomagać Wam ma szkoła. Szkoła pomaga Wam w poznaniu Boga przez naukę religii. Macie więc uczyć się pilnie religii, tj. katechizmu i Historii św. w szkole.

A jeżeli w szkole uczą Was religii w niemieckim języku?

Otóż nauczyciel Wasz wie, że ta niemiecka nauka religii nie pomoże Wam do poznania Boga, bo Boga tylko w mowie ojszystej poznać można.

Które z Was otrzymują w szkole naukę religii w języku niemieckim, to powinno w domu pilnie uczyć się katechizmu i historii św. po polsku.

Obowiązek ten jest nieodwołalnym, i żadne dziecko nie może się tłumaczyć, że nie ma czasu lub sposobności ku temu. Gdzie bowiem chodzi o zbawienie własnej duszy, tam czas i sposobność znaleźć się musi.

A zatem, Działki Kochane, niechaj każde z Was pamięta o tym tak ważnym obowiązku i przedewszystkiem poprosi rodziców, żeby mu kupili polski katechizm i polską Historię św., a potem niechaj pilnie uczy się z tych książek, żeby wedle przykazania Bożego poznać Boga i módz Go pokochać całym sercem.

Pielgrzym.

W zamku wspaniałym, z którego dziś już ani śladu nie pozostało, żył niegdyś rycerz bardzo bogaty. Wydawał ogromne sumy na przyozdobienie swoich komnat, ale ubogim bardzo mało czynił dobrego. Pewnego dnia, stary pielgrzym przyszedł prosić go o gościnność na jedną noc, ale rycerz z gniewem odpowiedział mu, że zamek jego jest oberżą. Słyszając to pielgrzym rzekł:

— Niech mi więc chociaż wolno będzie zadać panu trzy pytania.

— Na to chętnie pozwalam — odpowiedział dumny właściciel.

— Otóż najpierw powiedz mi pan, kto przed nim mieszkał w tym zamku?

— Ojciec mój.

— A przed ojcem pana?

— Mój dziad.

— A któż będzie następcą pana?

— Jeśli Stwórca pozwoli, to nim będzie syn mój.

— Kiedy więc każdy — ciągnął dalej pielgrzym — pewien czas tylko zamieszkiwał tę siedzibę, aby znów miejsca komu innemu ustąpić, to zamek jest prawdziwą oberżą. Wierz mi pan, nie wydawaj tyle pieniędzy na przyozdobienie miejsca, które prędzy czy później, przyjdzie ci opuścić na zawsze; bądź raczej li tościwym dla ubogich, a zbudujesz sobie stałe mieszkanie w niebie.

Rycerz zastanowił się głęboko nad słowami pielgrzyma, udzielił mu żądanej gościnności i od tej chwili daleko więcej okazywał współczucia dla nieszczęśliwych.

Pobożna matka i jej synowie.

I.

W dzień świąteczny, nie młoda już osoba rzekła do synów swoich:

— Niestety, jakże żałuję, że nie mogę dziś być w kościele, aby wspólnie z tysiącem ludzi, który się tam zgromadzi, modlić się do Wszechmocnego Boga. Zanadto jesteśmy od miasta oddaleni, abym mogła pójść pieszo, a powóz nam się stał zupełnie bezużytecznym od czasu, jak byliśmy zmuszeni sprzedać konie.

Synowie słysząc te słowa, przyciągnęli zaraz powóz przed dom, wsadzili matkę, a sami za przągi się w miejsce koni, zawieźli ją do znacznie od ich wioski oddalonego kościoła.

Mieszkańcy miasta rozczuleni do łez pobożnością tej matki i synowską miłością jej dzieci, wysypali kwiatami drogę od bramy aż do kościoła, powtarzając bezustannie;

Dziatwo droga!
Gdy czcisz Boga,
I rodziców i bliźniego,
Z Niebios woli,
Od złej woli
Aniołowie cię ustrzegą!

II.

Przy głośnych i radosnych okrzykach ludu, synowie przywieźli matkę do kościoła. Ta doszedłszy przed ołtarz, padła na kolana i ze łzami prosiła Boga, aby pobłogosławił jej synów i obdarzył ich tem wszystkiem, co szczęście im zapewnić może.

Powróciwszy do domu, zadowoleni młodzieńcy udali się na spoczynek, a kiedy nazajutrz rano matka weszła do nich, chcąc ich zbudzić, obydwa wyglądali jak uśpieni aniołowie — dusze ich bowiem w wyższe krainy uleciały. Pobożna matka, z początku zmartwiła się bardzo śmiercią

ukochanych synów, ale pó niej z rezygnacją podała się wyrokom Opatrzności, mówiąc:

— Widać Bóg w swej niezmiernej dobroci, wysłuchał prośby mojej; śmierć spokojna i szczęśliwa jest bowiem największym dobrem. Na ziemi nie było dostatecznej nagrody za ich synowskie przywiązanie, więc Ojciec nasz ukochany, do siebie ich powołał.

Człowiek cnotliwy, śmierci się nie lęka.

Żyjmy uczciwie, umierajmy radzi;

Bo przez grób, Stwórcy sprawiedliwa ręka,
Wiernych do szczęścia wiecznego prowadzi.

Asem i królowa duchów.

(Ciąg dalszy.)

— Idź dalej, jak siedleś dawniej i szukaj drogi, tjak dotąd szukałeś. Jeszcze 3 lata drogi dla zwykłego człowieka, zanim pokaże się morze, w którym jest wyspa Waak al Waak.

Asem Bogu się polecił, modlitwą się pokrzepił i szedł a szedł długie dnie i jeszcze dłuższe noce. Jak długo szedł, sam nie wiedział, aż ujrzał w koło siebie niezliczone mnóstwo węży, żmij i wszelkiego rodzaju pełzającego i jadowitego gadu. Po za tem zdala pokazywały się potworne stworzenia o siedmiu szyjach i tyłach głowach, syczące i to kły, to żądła pokazujące z paszczek, a ryczące przerażająco, jakoby ziały jadem gorącym. Ułaski się Asem i zadrżał nawet w sercu swoim. Więc uderzył z wolna w bębenek, pytając, gdzie jest i co ma czynić. Głos ducha odezwał się natychmiast.

— Jesteś w kraju potworów i smoków żarłocznych i jadowitych. Nie zatrzymuj się tu ani na chwilę, choćbyś upadał ze znużenia, bo to najniebezpieczniejsze miejsce a panują tu duchy najzłośliwsze.

Asem kroczył dalej, gdy w tem ujrzał, jak całą chmurą rzucają się ku niemu ze wszech stron owe węże, smoki i potwory i paszcze na niego otwierają. Spostrzegł się przecież wcześniej, że umęczony drogą i przestraciem, zalał się potem na czole i nie wiedząc nawet o tem, zdjął czarodziejską czapkę z głowy, więc go potwory dojrzały. Szybko więc złe naprawił, czapkę na głowę włożył i szedł śmiało. A węże i wszelkie te cudaki jadowite jakby zgłupiały, utraciwszy pewną zdobycz z oczu, tak się wiły i rzucały w koło niego, często tuż przy jego nogach.

Przeszedł więc Asem wśród ryku i syku niebezpieczną krainę smoków i stanął potem w okolicy piaszczystej, która była widocznie starym brzegiem morza, dziś daleko gdzieś cofniętego. Het w odległości pokazywała się na niebiosach luna czerwona, jakby się niebo paliło. Zadrżał

Asem na ten widok, wnet przecież powiedział sobie: „Czegoż się lękam i trwożę sobą? Wszakże Bóg miał mnie dotąd w opiece swojej, więc czemuż miałbym zginąć, jeżeli to nie jest jego wola?”

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wicek w niebie.

Wicek był z profesji tokarzem i namęczył się dosyć prz z całe swe życie i nabiedował przy swym warsztacie, lecz pomimo to pozostał biedakiem, bo nie umiał się liczyć, a los srogi prześladował go też od urodzenia.

Raz zesłał i leżał na ospe przez pół roku w łóżku; cudem prawie tylko wyzdrowiał i uszedł śmierci. Potem znowu żona jego, Małgorzata, była obłożnie chora przez całe dwa lata. Na koniec nadeszła śmierć i zabrała biedaczka do wieczności. Wickowi pozostało czworo dzieci, ciemna Hanusia, kulawy Józio, Małgosia i Jaś.

Wtedy pomyślał on, że nie da sobie teraz rady z czterema robaczkami i rozda je ludziom. Ale Pan Bóg zesłał szkarlatynę i zabrał do siebie Hausię i Józia. Z dwójgiem dzieci pozostał i pracował pilnie. Pomimo to jednak nie ustąpił krzyże, cierpienia i krzyżki. Lecz Wicek nie narzekał nigdy. Tylko kiedy czasami worek jego był tak próżnym, jak żołądek głodnego studenta, zaczął biedny Wicek cokolwiek marudzić i narzekać.

— Nie ma równości na świecie, jedni pracują, oszczędzają i mozolą się, a do niczego nie doprowadzają; drudzy zaś próżnują, grają i bawią się a jednak są zdrowymi, przelewa się u nich codziennie. Małe wyrównanie tych stosunków nie szkodziłoby nikomu.

Nareszcie pogodził go z losem sen.

Było to w nocy przed świętem Bożego Ciała; śniło mu się, że umarł a z wieży kościelnej odzywał się dzwon tak smutnie i rzewnie, jak gdyby jęczał. Potem ujrzał się na drodze wiodącej do nieba. Idąc po niej, nie miał wprawdzie strachu; ale niebył zupełnie pewnym tego, jak mu tam pójdzie.

Wiele ludzi przechodziło obok niego, a dziwiło go, że byli to prawie sami bogacze. Siedl tam pomiędzy innemi pan wysoki, szeszupły, w czarnym fraku, na piersiach miał pełno krzyży, gwiazd i medali. Tuż za nim szła pani w aksamitach i jedwabiach; przeszła obok, i minęła go, nie spojrzawszy nawet na biedaka. Znowu szli inni, tam jeden w błyszczącym bogatym mundurze i płótopuszem na kapeluszu; tu panie i panowie, a teraz nawet jechał wóz w dwa siwki zaprzężony, a na nim pełno panów.

Wicka poczęł coraz większy ogarniać strach; obawiał się, że dla niego nie zostanie najskromniejsze nawet miejsce, jeżeli tak wielu przed nim

do nieba przyjdzie, i to na dobitkę tak dostojnych panów.

Szaro jednak przed bramą niebieską stanął, odjeżdżał wóz, a panowie wszyscy na nim się jeszcze znajdowali. I drugim się niekoniecznie powiodło, wracali zasmuceni.

Wysoki czarny pan wskazywał na swoją pierś, na gwiazdy i krzyże, i opowiadał św. Piotrowi, stróżowi bramy niebieskiej, co on to zdział, jak wiele godności dał mu świat.

— Otrzymałeś już nagrodę, — rzekł do niego św. Piotr, — masz krzyże i gwiazdy.

Nadeszła też dumna pani w szeleszczącej sukni i opowiadała, że często dla sierót i biednych urządzała zabawy z tańcami, albo sama u siebie na ten cel gości przyjmowała itd. Jeszcze wielu innych zbliżało się i tłoczyło się do bramy, opowiadając o swych zasługach. Jednakże stróż bramy niebieskiej odpowiedział im krótko:

— Jużście otrzymali zapłatę! — i usuwał się.

Wicek poczęł się trząść i zębami zgrzytać. Ale Święty obrócił się raz jeszcze i zawołał:

— Nie ma tam Wicka?

— Owszem, jestem tutaj! — krzyknął Wicek. Skoczył i już był przy bramie.

— Wejdz tylko — rzekł strażnik — zapowiedziano cię u nas i czekamy na ciebie.

Brama otworzyła się i zaraz ją zamknięto, a panowie przed nią stojący patrzyli na to z zadziwieniem. Lecz Wickowi tak się zrobiło błogo, że chciał zaśpiewać z radości i szczęścia. Zobaczył bowiem jasność i światłość taką, że mu aż oczy od tego widoku zachodziły! A przed nim znajdował się na wzgórku niebieskie miasto, tak blisko, a jednak tak znowu daleko, tak powiewne i delikatne, jak gdyby z srebrnej mgły utkane; a w nim tysiące wież i wieżyczek i kolumn; migało się i błyszczało wszystko, i świeciło się i wyglądało jak płynne złoto, a później mieniło się znowu jak drogie kamienie w najrozmaitszych kolorach, a wszystko było tak przezroczyste i jasne jak dyament.

Z miasta onego dochodził głos dzwonów i spokojny i cichy, uroczy i delikatny, jak błogosławiona muzyka Aniołów. Trzy gwiazdy zleciały na Wicka; stawały się coraz większemi aż naraz powstały z nich trzy świetne postacie. Zajrzał im w oczy, już je poznał, była to jego żona, Małgorzata, Józio i ciemna Hanusia. Ta ostatnia już nawet nie była ciemną bo oczy jej świecą, jak najjaśniejsze gwiazdy. Wicek nie odważył się wcale do nich przemówić, tak pięknie wyglądały, tak niebiańsko. Ale one zabrały go ze sobą, i Wickowi robiło się coraz lepiej, coraz weselsiej na sumieniu. I głos dzwonów stawał się coraz wyraźniejszym. Naraz zaczęto strzelać ze armat. Wicek myślał, że to wszystko się odbywało na jego cześć. Dzwonienie i strzelanie nie ustawało.

Na to się Wicek przebudził. Dzień już zagaądał do okienka; ale ciągle jeszcze strzelano i dzwoniono bez ustanku: puk, puk i bim, bam.

Był to właśnie poranek święta Zmartwychwstania Pańskiego, z wieży kościelnej wydzwaniało wszystkimi dzwonami dzień ten uroczysty, a móżdżerze roznosiły radość świąteczną pogórach i dolinach. Wicek zaczął płakać, jak małe dziecko; tak mu smutno, lecz równocześnie i błogo było na sercu.

Nie szemrał też już nigdy przeciw Najdobrotliwшему Panu Bogu i Najmądrszemu Ojcu, bez którego woli i wlos jeden z głowy nam nie spadnie, że był biednym, że ciężko pracował. Tam w wieczności czekała go zapłata za trudy i cierpienia doczesne.



Kania.

Działo się to na wsi.

Po dnu skwarnym było parno w powietrzu i zanosilo się na burzę.

Rodzice z dziećmi siedzieli na ganku, z którego rozciągał się widok na obszerne pola, na niziny, zaległe łakami i łoziną, i na las ciemny, zamykający widnokrąg.

Coraz silniejszy szum dobiegał z tego lasu, bo wiatr dał w drzewa i rozpędzał chmury po niebie.

Naraz dzieci zaczęły sobie pokazywać w powietrzu ptaka, który, poruszając szerokimi skrzydłami, ciągnął ponad łąk szlakiem, i słychać było żalostny, powtarzający się głos jego.

— Co to za ptak? — pytały dzieci.

— Alboż nie widzicie, że to kania; alboż nie słyszycie, że woła: pić! pić! — rzekła dziewięcioletnia Józia. — Nie wolno kani napić się wody z ziemi; ona pragnie deszczu, bo tylko wtenczas może pić to, co się w zagłębieniach kamieni lub listków zatrzyma. Ona teraz prosi o deszcz, bo musi być bardzo spragniona.

— Gdzieś to czytała? — zapytał ojciec.

— Ja nie czytałam tego nigdzie — odpowiedziała, tylko mówiła mi to Marcinowa; mówiła ona takte, dlaczego kania jest taka nieszczęśliwa. W pewnym kraju nie było wody; ptaki nie miały co pić, więc się zebrały wszystkie i zaczęły kopać stadnią dziobami. Pracowały tak ciężko i długo, jeana tylko kania nie chciała wspólnie pracować i odłączyła się; dlatego też Pan Bóg ją skarał i teraz nie może nigdy napić się wody z ziemi.

— Czy to wszystko prawda? — zapytały inne dzieci.

— To jest taka prawda, jak rozmowa z ab z chłopcami, albo zółwia z myszą, o czym się w bajeczkach uczycie. Nad każdą taką bajeczką

trzeba się dobrze namyślić, co ona naprawdę znaczy, jaki jest jej sens moralny. Przecież ptaki nie kopały studni dziobami i zapewne nie wykopalyby jej nigdy; jednak bajeczka ta uczy, jak to każdy powinien pracować i zdobywać to, czego nie ma, jak to niepodobnych nawet napozór rzeczy przy wsłonej i usilnej pracy dokonać można. Zle bardzo czyni, kto jest sobkiem, odludkiem, samolubem, kto się od wspólnej pracy, jak ta podaniowa kania, usuwa. Za taką niesolidarność czeka go kara: przez całe życie nie będzie się cieszył z drugimi i tak żalostnie narzekać będzie, jak ta kania narzeka.

Golębię.

Adolf i Leopold, dwaj mali przyjaciele, znani w całej okolicy, jako grzeczni i rozsądni chłopcy, sąsiadowali z sobą. Bogaty Adolf miał mnóstwo najpiękniejszych, najrzadszych gatunków gołębi. Leopold, ubogi, miał ich bardzo mało i z rodzaju najpospolitszych.

Razu jednego dwa gołąbki Adolfa wleciały do gołębnika Leopolda i chciały założyć gniazdo. Poczciwy chłopiec, spostrzegłszy to, rzekł do siebie:

— Jakżebym był szczęśliwy, gdyby te gołąbki do mnie należały! Ich piórka białe jak śnieg, a ogonki i główki czarne jak heban.

Ze wszystkich gołębi Adolfa te najbardziej mi się podobają. Doprawdy, kiedy przyleciały same, mam chęć zamknąć je tutaj i zatrzymać sobie.

— Ale nie! — powiedział po chwili — nie mogą tego uczynić, popełniłbym grzech. Nie powinienem uleść pokusie.

— Zatrzasnął więc kłapę, wziął gołębie i odniósł je Adolfowi.

Ten został żywo wzruszony poczciwością swojego małego sąsiada; podziękował mu serdecznie, a gdy ta sama para gołąbków złożyła w gąszczu jajeczka, zaniósł je potajemnie do gołębnika Leopolda i włożył w miejsce jajek gołębi szarych, zniesionych w tym samym czasie.

Skoro się młode wykluły i zaczęło pokrywać się piórkami, Leopold nie mógł się wydziwić, widząc, że z koloru piórek i całego kształtu są zupełnie podobne do najpiękniejszych gołębi Adolfa. Pełen radości, pobiegł do niego i opowiedział mu o owym nadzwyczajnem zjawisku, którego nie mógł zrozumieć.

Adolf uśmiechnął się tylko, a po niejakiem czasie opowiedział przyjacielowi, jakim sposobem pragnąc mu się za poczciwość wywdzięczyć dokonał zmiany. Naostatek dodał:

— Bądź zawsze tak poczciwym, a Bóg i ludzie nie przestaną cię kochać i szanować.